Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

ROK V NR. 2 (94) | DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA | CENA 50 GR.
WARSZAWA, DNIA 15 KWIETNIA 1936 R.

Wielka Tęsknota

Czego dziś pragnie świat? Napewno nie wojny powszechnej, choć się do niej panicznie przygotowuje, obmyślając czemprędzej coraz to bardziej niszczycielskie gazy i coraz dziwaczniejsze przeciwko nim maski ochronne. Napewno nie rewolucji socjalnej, choć manifesty kominternowskie i szablony partyjnego żargonu każą mu deklamować bezmyślnie o zbawicielskiej dyktaturze proletarjatu, o burżuazyjnych krwiopijcach i o społeczeństwie bezklasowem. Napewno nie faszystowskiego państwa totalnego, choć młodzież przywdziewa kolorowe koszule, a megafony ryczą na wszystkich placach pochwałę nacji, partji i wszechpotężnych wodzów. I napewno nie raju „cywilizacji maszynowej" produkującej masowo homunculusów. Napewno nie nowego średniowiecza z wyzwoleniem kompleksów irracjonalnych w ludzkiej duszy.

Choć usta, gazety, radjoaparaty mielą bez końca plewy frazeologji pacyfistycznych, komunistycznych, nacjonalistycznych, humanitarystycznych, choć zaczepiają się o siebie z przerażającą monotonją tryby coraz to nowych konferencyj międzynarodowych, choć pióra dyplomatów podpisują jednodniowe pakty, preliminarze, traktaty i projekty bezpieczeństwa kolektywnego, ludzkość wie dobrze, a przynajmniej wyczuwa nieomylnie, że to wszystko jest jeszcze jednym humbugiem i samookłamaniem, że to NIE TO.

Więc czego pragnie ludzkość? Co jej się marzy, gdy powraca ona *do siebie,* schodząc ze sceny międzynarodowych maskarad, na których przywdziewać jej każą różnobarwne kostjumy i stroić coraz to inne, dyplomatyczne lub rewolucyjne, uprzejme lub wrogie grymasy? Trudno na to odpowiedzieć jednem słowem. Fakt, że ludzkość ma już tego wszystkiego dość, że nie chce już dłużej męczyć się, wygłupiać, maszerować, udawać, że wogóle jest już bezmiernie znużona.

Każdy z nas w głębi duszy utracił resztki zainteresowania dla tej powtórki oklepanych komunałów, dla beznadziejnego zszywania prującej się wciąż szaty godowej Ligi Narodów. Każdy z nas czeka, świadomie czy nieświadomie, kiedy nareszcie objawi się TO NOWE, inne od wszystkich wyświechtanych kombinacyj politycznych, czy ideowych, godne zaspokoić niedosyt duszy globowej, uśmierzyć bezsensowne konflikty i kres położyć konwulsyjnemu szamotaniu.

Ludzkość czuje, że obumiera, że się coś w niej rozkłada i rozłamuje, że postępuje wciąż wewnątrz niej jakiś proces gnilny dysolucji, który niewiadomo jak powstrzymać. I zarazem oczekuje ona, wbrew nowoczesnej manierze zblazowanego sceptycyzmu, że skądś nareszcie padnie wyzwalające SŁOWO, w którem jest tajemnica nadchodzącej ery, świeżość wiosny, potęga realizacji, mądrość rzeczywistego rozwikłania paradoksalnych problemów.

Jak ma wyglądać to coś, z jakich głosek ma się składać to słowo? Być może, że każdy z nas, zapytany o to, zbanalizowałby je odrazu upodobnieniem do znanych sobie szablonów, programów i idej. Ale rzekł przecież Chrystus: „Nie lejcie nowego wina w stare statki". Forma, wyraz, objektywizacja tej nowej a ożywczej energji musi tedy różnić się zasadniczo od tradycyj dotychczasowych.

Potrzeba dziś światu MYŚLI wielkiej, któraby pojednała nazawsze człowieka z ludzkością, a przezto naród z narodem, stronnictwo ze stronnictwem, klasę z klasą, wyznanie z wyznaniem. Trzeba mu WOLI wszechmożnej, któraby podjęła i wykonała olbrzymi plan nowego ładu, który z założeń takiej myśli wynika. Trzeba mu UCZUCIA olśnienia i zachwytu, któryby pozwolił ludziom nanowo umiłować swój własny byt i cel, i zrodzić w pięknie przemienionem nowy styl życia.

Ludzkość pragnie o własnej sile ZMARTWYCHWSTAĆ. I tu jest ta chęć podgłębna a nienasycona, która nurtuje dziś dusze. Chce ona prawdy... bez etykiet urzędowych, dobra... bez policyjnego przymusu, piękna... bez handlarskiej reklamy. Marzy ona o łączności człowieka z człowiekiem bez patronatu partji politycznej, statutu i komisji rewizyjnej, marzy o działaniu twórczem i skutecznem bez narzuconych nakazów zewnętrznych i bez represyj. Chce być wolną i samorzutną, a odpowiedzialną tylko przed własnem sumieniem.

Pdjąć wielkie, największe ze wszystkich zadanie, nie jako postulat strachu panicznego przed katastrofą światową, w którą zaplątała się współczesna Europa, lecz jako własne, dobrowolne posłannictwo. Zrealizować pokój nie jako zawieszenie broni pomiędzy uzbrojonymi potworami, warczącymi na sąsiada, lecz jako warunek człowieczeństwa i system wolnej współpracy twórczej. Usunąć z tej planety zło, nienawiść i siły wywrotowe, lecz nie przez teror, rozlew krwi i walkę, lecz przez proste wyeliminowanie ich poza nawias konstrukcyjnej społeczności międzynarodowej, ochraniającej twórczość, a pogardzającej destrukcją. Oto są te wielkie tęsknoty, których realizacja dziś jeszcze wydaje się być mitem, a jednak jutro... jutro wszystko jest możliwe.

Wszystko w tym śnie na jawie sprowadza się do jednej największej niewiadomej: *jak ustanowić wspólnotę ducha bez paragrafów statutowych, potęgę bez tanków i bagnetów, autorytet bez sankcyj, prawo bez rygorów materjalnych.* Kto dziś rozwiąże to równanie, stworzy system siły nadrzędnej o nieskończonej skuteczności i elastyczności działania, ruch i ideję, która przejdzie przez wszystkie kordony, podbije wszystkie mózgi i serca, przybliży niebo do ziemi, usprawiedliwi świat i rozświetli mroki chaosu międzynarodowego.

O nową społeczność, o moc realizacji, o słowo wyzwalające — PROSIMY CIĘ PANIE!

Pobielane groby

Artykuł mój p. t. „I to ma być Polska?" nie był odosobnionym wyskokiem, lecz kontynuacją całej serji podobnych alarmów. Nutą ich dominującą było zawsze to jedno: panowie z „elity", obudźcie się, zawróćcie z drogi, bo w Polsce — z waszej winy — źle się dzieje. Ale panowie ci udawali, że nic nie słyszą, drzemali sobie na swych stolcach dygnitarskich, fotelach PAL-u i dobrze płatnych posadach, nie przejawiając bynajmniej poczucia odpowiedzialności i czujnej troski o postęp kulturalny i zdrowie moralne ogółu. Skąd więc taka nagła i gwałtowna reakcja na jedno zdanie, wyrwane z rzeczonego artykułu, zawierające fragment zaledwie naszych nieustannych „rewelacyj", ostrzeżeń i zarzutów? Skąd ta kampanja, wszczęta „w obronie młodzieży" i zdrowia moralnego społeczeństwa, skąd ten wybuch oburzenia i stek obelg, posuniętych aż do zarzutu, że „Braun rozpętał zło"?... Skąd to podżeganie opinji publicznej niemal do lynchu moralnego na mojej osobie, w imię obrażonej wstydliwości obyczajowej „starszych i młodzieży?"

Otóż ta krucjata fałszywego katońStwa zorganizowana została niewątpliwie tylko dlatego, że jedno z pism codziennych rozerwało krąg milczącego bojkotu, otaczającego akcję Zetu. „Elita" była dotąd spokojna, że słowa Zetu nie docierają do szerokich kół, wobec czego wygodne dla niej status quo pozostaje nienaruszone. Aż tu nagle te niebiezpieczne dla niej słowa wtargnęły na wielki rynek czytelniczy, grożąc demaskaradą rozpierającej się wszechwładnie mafji pasorzytniczej. Toteż nastąpił momentalny odruch samozachowawczy. „Brednie tygodnika Zet", „kalumnje wyssane z palca", „Braun kłamie" —„wszystko idzie doskonale". Sprytnie wybrano cel obstrzału. Społeczeństwo jest szczególnie wrażliwe na temat młodzieży, „przyszłości narodu", rodzice *chcą* być uspokojeni, że ich dzieciom nic nie grozi, dyrektorzy *muszą* bronić honoru swych zakładów, w obawie przed ich zamknięciem, najwyższe władze oświatowe *nie pozwolą,* by je pomówiono o brak nadzoru, nauczycielstwo jest bardzo ambitne na tle swoich walorów pedagogicznych i buntuje się przeciw samej myśli, by ktoś zzewnątrz wkraczał w jego atrybucje i zarzucał mu niedopatrzenie. Wobec tego łatwo zlikwidować śmiałka, a skoro prawdomówność jego zostanie podana w wątpliwość w tej dziedzinie, to i wszystkie inne jego alarmy tracą kredyt, co odbić się musi i na stosunku społeczeństwa do reprezentowanej przez „Zet" idei.

Ale i ten łatwy planik spudłował. Sztucznie zorganizowany „odruch oburzenia" nie był wyrazem opinji publicznej. Głos kilku dyrektorów prywatnych gimnazjów, zaniepokojonych o los swych zakładów i kierowniczek szkół żeńskich, które w najważniejszej z poruszonych przezemnie spraw nie mogą mieć nic istotnego do powiedzenia, ani nie udowodnił „bezpodstawności zarzutów", ani nie przesądził całokształtu sprawy, która, jako konkretne zło społeczne nie da się zakrzyczeć gołosłownemi oświadczeniami. W sprawach takich nie są miarodajni ci, co *nie wiedzą,* lecz naodwrót, ci co *wiedzą.* Toteż byłoby lepiej, by szanowni panowie dyrektorzy powściągnęli swe języki, nie insynuując „kalumnij" i „oszczerstw" (bo za epitety takie można być pociągniętym do odpowiedzialności sądowej), zanim zbadają problem, którego ujawnienie spadło na nich jak piorun z jasnego nieba. I niech pamiętają o tem, że jeśli ich uspakajające zapewnienia nie były wypływem faryzeizmu, który w tak poważnej sprawie byłby szczytem nierzetelności, to tem gorzej dla nich, gdy się okaże, że fakty i zjawiska notorycznie znane, zostały przez nich przeoczone.

Pisze p. Łoziński, że jeśli zarzuty moje są prawdziwe, to miałem możność na innej drodze złu przeciwdziałać. Lecz ja nie jestem ajentem policyjnym i nazwisk ani faktów pojedyńczych denuncjować mi nie wolno: od tego są inne czynniki. Publicyście pozostaje ta droga, którą obrałem. Jeśli zaś chodzi o „zgorszenie publiczne" to Zet jest organem poważnym, przeznaczonym dla niewielu. Zresztą od lat alarmuję i ostrzegam przed różnemi szkodliwemi objawami rzeczywistości polskiej... bez skutku. P. Łoziński jest wielce *naiwny,* jeśli sądzi, że owa interwencja „na innej drodze" odniosłaby efekt pożądany.

P. Łopattowa narzeka na „niezdrowe podniecenie młodzieży". Ale czy nie lepsze jest otwarte i radykalne wypowiedzenie prawdy, niż kłębienie się pod powierzchnią rozmaitych obrzydliwości, gdy nazewnątrz udaje się, że wszystko jest bardzo ładnie? Tu właśnie widzę ów faryzeizm, ową dwutorowość, która znieprawia życie polskie. W Polsce dnia dzisiejszego wszystko ma prawo obywatelstwa *prócz prawdy.* Zakłamanie przeżera nas. Z tem trzeba raz skończyć. Ta rzekomo niewinna młodzież, której niewolno gorszyć „niezdrowem podnieceniem", jest już dostatecznie zgorszona atmosferą cynizmu obyczajowego, którą stworzyli w Polsce różni Boye, Krzywickie, Zegadłowicze i t. p.

I tu jest sedno problemu. Nie młodzież oskarżyłem w swym „skandalicznym artykule", lecz *starsze społeczeństwo,* a raczej jego „elitę" kulturalną, która ze *skandalicznym* cynizmem deprawuje młodszą generację. To ja — a nie „Czerwoniak" — wystąpiłem w obronie ducha i zdrowia moralnego tej młodzieży, nihilizowanej i gangrenowanej bezkarnie przez pozbawionych poczucia odpowiedzialności „ubranych w togi i udekorowanych wawrzynami polskich Voltaire'ów i Cagliostrów". Poco więc to faryzejskie rozdzieranie szat, poco to pomieszanie pojęć? Chyba tylko poto, by odwrócić uwagę od właściwych winowajców. Młodzież jest nieodpowiedzialna, chłonie atmosferę, w której wzrosła, naśladuje starszych, zwłaszcza tych, których postawiono na świeczniku. Jedyne „rodzime", nie importowane z zagranicy hasło, jedyny prąd „ideowy" made in Poland, to u nas owa reforma seksualna, stworzona i głoszona przez koryfeuszy literatury i publicystyki polskiej: boyszewizm. Czy można się dziwić, że młodzież, zawsze radykalna w swych dążeniach, nie widząc po odzyskaniu niepodległości — żadnej nowej, wielkiej idei, poszła albo za komunizmem, albo ku ekscesom w stylu hitlerowskim, albo za hasłami „życia ułatwionego"? Jeżeli dziś szerzy się zepsucie w tej dziedzinie, jeżeli odwartościowane są wśród większości młodzieży wszelkie „ideały", a zaszczepiona przez „Wiad. Lit." moda cynicznego kpiarstwa staje się wśród niej nieznośną manierą, to jest to tylko rezultat *braku idei.* Dlatego napisałem: „Nie daliście młodzieży idei i oto są następstwa".

Tyle na temat ankiety. A teraz strona merytoryczna. Powiada się: młodzież jest zdrowa, rzekome objawy zdziczenia i deprawacji nie istnieją, wszystko w Polsce dzieje się jaknajlepiej. Ja jednak, — choć wolałbym się mylić — potwierdzić muszę opinję ks. prymasa Hlonda, który mówi w ostatnim swoim liście pasterskim: „Jakieś nieprzestrzenne siły łamią sumienie. Bolszewizacja umysłowości podważa wszelkie zasady etyczne. Dusze dziczeją. Zwierzęceje człowiek... Jakby jakieś burzycielskie demony gnały przez kraj, dławiąc poczucie etyczne i siły moralne narodu".

Rok czy dwa lata temu jeden z największych polskich dzienników drukował na swych łamach rozpaczliwe listy nauczycieli i wychowawców, podających cyfry i fakty, świadczące o demoralizacji i wzroście przestępczości wśród młodzieży. Pisano nietylko o wykroczeniach seksualnych, lecz o kradzieżach, alkoholizmie, napadach rabunkowych. Pewne pismo nauczycielskie podaje, że na terenie jednego tylko kuratorjum, wciągu jednego roku, było wśród młodzieży szkolnej 700 wypadków chorób wenerycznych i około 400 wypadków spędzenia płodu. Epidemja samobójstw jest znana pedagogom i komitetom rodzicielskim. Jeżeli idzie o inne kwestje, przedrukowane z mego artykułu przez „Wieczór Warsz." (demoralizacja i choroby weneryczne na wsi, „fabryki świadomego macierzyństwa" i t. p.) to proszę przejrzeć cyfry i referaty komisji sanitarnej Sejmu.

Jeżeli idzie o homoseksualizm, to jest to bolączka społeczna specjalnie trudna do usunięcia, gdyż zboczenie to natury psychiczno-organicznej jest niełatwe do wykorzenia, w dodatku zaś ci, którzy mu hołdują, zachowują ścisłą tajemnicę, co uniemożliwia prawie przeprowadzenie dowodu prawdy. Jeżeli, pomimo tej przestrzeganej dyskrecji, konkretne fakty razporaz wychodzą na wierzch, to dowód rozpowszechnienia tego zjawiska, którego nasilenie podspodem jest stokroć większe. Słusznie zaznacza „Wieczór Warsz.", że po wystąpieniach Boya i jego adherentów w sprawie „mniejszości seksualnej", oraz po odnośnych zmianach w ustawie karnej, homoerotyzm stał się nagminną chorobą. Gdyby ograniczał się on do rzeczywiście zboczonych, byłoby to ich „tragedją osobistą" i smutną koniecznością społeczną. Ale obecnie staje się on modą, szerząc spustoszenia etyczne i wśród młodzieży szkolnej. Zboczeniu temu zaczynają się oddawać chłopcy normalni skądinąd, którzy robią to dla snobizmu, lub co gorzej dla pieniędzy.

Szerzenie się homoerotyzmu występuje w okresach schyłkowości, degeneracji narodu, albo też w okresach anarchji etycznej, gdy imperatywy i skrupuły w tej dziedzinie zostały przez „ducha czasu" odwartościowane. Wiemy, co się działo w Niemczech przed przewrotem, a i w łonie samej partji hitlerowskiej przed okropną masakrą z 30 czerwca. Podobne objawy dają się zauważyć od pewnego czasu i w Polsce. Bogu dzięki nie jest u nas jeszcze tak źle, ale trzeba działać zawczasu, póki jeszcze da się zatamować proces rozkładu.

Zalepianie plastrem angielskim otwartej rany nie przyda się na nic. Kto dba naprawdę nie o siebie, lecz o dobro ogółu, powinien dopomóc w stworzeniu poważnej akcji obywatelskiej, któraby, po wycofaniu tej sprawy z łam czasopism, zabrała się poważnie i spokojnie do obmyślenia środków zaradczych. Trzeba przedewszystkiem odizolować młodzież gimnazjalną od deprawujących wpływów. Trzeba uniemożliwić fatalnie obciążonym zboczeńcom (którzy zazwyczaj znani są najbliższemu otoczeniu) piastowanie stanowisk, na których mają oni bezpośrednio do czynienia z młodzieżą, lub takich, gdzie młodzi ludzie są od nich w jakikolwiek sposób uzależnieni. Trzeba — co ważniejsze — zniszczyć u podstaw kłamstwo społeczne, które wprowadza cyniczną dwutorowość słów i uczynków. Trzeba oczyścić atmosferę Polski współczesnej, w której rej wodzą różne pseudo-wielkości, sączące bezkarnie truciznę w organizm duchowy narodu. Trzeba powiedzieć tym ludziom otwarcie i odważnie: „Biada wam faryzeuszowie i doktorzy zakonni, obłudnicy, boście podobni do grobów pobielanych, które zzewnątrz wydają się piękne, a wewnątrz pełne są plugastwa i wszelkiej nieczystości, pełne dumy, fałszu i obłudy".

A nadewszystko — bo reszta to tylko paljatywy — trzebą dać młodzieży i całemu społeczeństwu *cel wielki,* uniwersalną ideję, któraby rozpłomieniła ich dusze pogardą dla obsesji seksualnej, a entuzjazmem dla prawdy, dobra i piękna.

Jerzy Braun

Chrystus czy Antychryst

(Na marginesie książki Bierdiajewa o komuniźmie IV)

Uwaga: Nie należy z moich wywodów poprzednich wysnuwać wniosku, jakoby tendencje mistycyzmu rosyjskiego (wyrosłego z korzeni orjentalno-helleńskich: gnostycko-manichejskich i neoplatońskich) były wyłącznie kakodemoniczne, destruktywne. Wogóle mistycyzm, w każdej swej postaci i w każdej epoce historycznej, dzieli się na trzy odnogi, o cechach i aspiracjach odmiennych: 1) *mistycyzm właściwy*, ośrodkowy, dążący do zachowania kontynualności swych dążeń poprzez wszystkie stadja rozwojowe, neutralny w stosunku do przeciwstawności dobrej i złej zasady, manifestujący się w rdzeniu duszy ludzkiej, a zainteresowany jedynie w uprawie czystej „wirtualności mistycznej" t. j. w rozwoju stopniowym władz (rzekomo) wyższych, znanych ogólnie pod mianem stazy (ekstaza, letarg, katalepsja, energja telepatyczna i hypnotyczna, magnetyzm, magja i t. d.), a mających — jego zdaniem — przywrócić utraconą harmonję między światem niewidzialnym, a widzialnym, dać człowiekowi możność „obcowania ze światem duchowym", poznania intuicyjnego absolutu, a przezto odzyskania bytu absolutnego, 2) *mistycyzm agathodemoniczny* [1]), który zbacza z głównego szlaku ku *dobrej zasadzie*, usiłując dźwignąć się ku uczestnictwu w kosmosie moralnym, przez podporządkowanie się boskiej teleologji stworzenia i przeczucie „Królestwa Bożego na ziemi", 3) *mistycyzm kakodemoniczny* [2]), odpadający naodwrót ku *złej zasadzie*, a przez to podatny do ateizmu i tendencyj odśrodkowych, burzycielskich, destrukcyjnych. W rosyjskich doktrynach i sektach mistycznych, a także w filozofji i literaturze rosyjskiej spotykamy wszystkie te trzy dążności. Jeżeli w pewnym okresie zatryumfował typ kakodemoniczny, rewolucyjny, oparty na zasadzie negacji i nienawiści, jeżeli zdołał on wchłonąć w siebie przeciwną, agathodemoniczną gałąź mistycyzmu, ciążącą ku ideałom moralno-religijnym, i zorjentowaną ku celom nadprzyrodzonym, pozaziemskim duszy ludzkiej, to spowodowały to specjalne okoliczności: 1) brak determinacji spekulatywnej prawdziwego posłannictwa Rosji, którego jasne określenie mogło było skupić żywioły twórcze i dobrej woli koło idei pozytywnej, 2) kruchość moralna duszy rosyjskiej, wynikła z jej rozdarcia ambiwalentnego pomiędzy motywy antynomiczne dobra i zła, (przyczem motyw dobry: obawy i wstrętu do „Antychrysta", nie miał się na czem ugruntować, bo wizja „Królestwa Bożego" była dlań czemś nieokreślonem, nie dającem się uchwytnie zrealizować, podczas gdy rewolucyjna „eschatologja socjalna" miała wyraźny program działania, wprost zmysłowo namacalny), 3) wtargnięcie od zachodu zupełnie jasno skrystalizowanej, zdecydowanej idei: antychrystjanizmu marksowskiego, zbrojnego w wolę zwycięstwa, który zgwałcił niejako bierną, rozpłyniętą w spekulatywno-kontemplacyjnych marzeniach eschatologicznych jaźń rosyjską, przechylając ostatecznie szalę na stronę kakodemonicznego mistycyzmu rewolucyjnego.

Te ostatnie tezy wymagają dodatkowego wyjaśnienia: Religja objawiona wogóle, chrystjanizm zaś w szczególności, posiada charakter mesjaniczny, nastawiony na „rzeczy ostateczne", a więc oczekujący przyszłego *dopełnienia* (Królestwo Boże, Sąd Ostateczny, powtórne przyjście Chrystusa, obietnica Paraklcta, Nowe Jeruzalem z „Objawienia św. Jana", zapowiedź „jednej owczarni i jednego pasterza", czyli Kościoła Powszechnego; możnaby cytować bez końca odnośne teksty Pisma Św., świadczące o takim właśnie charakterze religji). Religja bowiem zakłada prawdy absolutne, jako problematy, które człowiek winien rozwiązać przez samorzutny wysiłek rozumu, aby poznać istotę Boga i dokonać samostworzenia na Jego podobieństwo.

Tendencja ta do *chrystjanizmu spełnionego*, czyli do zamiany Credo na powszechne Cognosco religijne, była szczególnie silna w Kościele Wschodnim; w przeciwieństwie do statycznego, konserwatywnego, usztywnionego historycznie katolicyzmu rzymskiego — kościół grecki miał charakter dynamiczny, płynny, pozostając układem otwartym naoścież dla oczekiwanego „powtórnego przyjścia" (stało się niestety tak, że zamiast Chrystusa wszedł przez tę bramę „Antychryst", przez co spełniły się obawy myślicieli i pisarzy rosyjskich, zapłodnionych przez „Apokalipsę", że wspomnę choćby tylko Błoka: „Lecz straszno mi, Ty zmienisz swe oblicze!"). Ale nietylko Kościół Wsch. nastawiony był na „spełnienie". Ludy żyjące w obrębie tego systematu religijnego, miały wrodzoną skłonność eschatologiczną. Podług Wrońskiego, Słowianie mają swe szczególne przeznaczenia dziejowe, predestynujące ich do utworzenia *nowej społeczności powszechnej*, t. zw. Unji Absolutnej. Nie należy identyfikować jej z Kościołem Powszechnym, czyli „chrystjanizmem spełnionym". gdyż Unja Absolutna oznacza samorząd globowy ludzkości, ugruntowany na jedni *rozumu*, jako powszechnego kryterjum solidarności rodzaju ludzkiego. Jednakowoż chrystjanizm spełniony, którego realizację zapowiedział Jezus Chrystus w swej obietnicy Parakleta, stanowi — podobnie, jak i światowa federacja państw — warunek powstania i rozpowszechnienia tej Unji. Współistnienie w duszy słowiańskiej tych potężnych, a różnorodnych aspiracyj, stwarza niebezpieczny dylemat: *Jeżeli Słowianie uświadomią sobie jasno swe posłannictwo, odegrają w historji rolę zbawczą i konstruktywną; jeżeli jednak mesjaniczność ich zatrzyma się w stadjum prymitywnem luźnego pędu uczuciowego, dążności te zostaną wykorzystane przez siły złe i destrukcyjne, które doprowadzą je do zderzenia i zniszczenia się wzajemnego.* To właśnie miało miejsce w Rosji: a) zamiast oczekiwanego chrystjanizmu spełnionego, zaszczepiono tam rewolucyjny antychrystjanizm, b) podatność słowiańską do utworzenia Unji Absolutnej, czyli samorządu globowego ludzkości („sobornoje naczało"), opartego na idei racjonalistycznej *powszechności rozumu*, użyto jako narzędzie do zniszczenia Kościoła i jego idei religijnej „Królestwa Bożego na ziemi", c) zamiast rzeczywistej Unji Absolutnej zrealizowano jej przeciwieństwo antynomiczne: związek kakodemoniczny „ludzkości" antymoralnej, skierowany przeciwko Bogu, historji i człowieczeństwu.

Ktoby jednak sądził, że doktryny mistyczne wszelkiego typu znalazły podatny grunt do rozwoju wyłącznie w Europie Wschodniej, byłby w błędzie. Ewolucja mistycyzmu dokonywała się również na terenie Europy Zachodniej, żłobiąc sobie tam nowe łożysko i wytwarzając formy odrębne. Więcej nawet, odnoga zachodnia mistycyzmu poszła dalej w radykaliźmie swych tendencyj i gdy mistozofja rosyjska konserwowała stare doktryny gnostycko-neoplatońskie, przechowując je w stanie niemal niezmiennym, aż do dzisiejszych czasów, to okultyzm zachodni poszedł wyżej, próbując dokonać nowego, bardziej perwersyjnego pomieszania prawdy i dobra. Szlak ten, zapoczątkowany bodajże przez Dyonizego Areopagitę i owinięty zrazu jak bluszcz wokół Kościoła rzymskiego, przerzucił się stopniowo — z dziedziny sekciarstwa i herezyj religijnych — w dziedzinę autonomiczną okultyzmu usystematyzowanego (nauki tajemne i teologja mistyczna), rozbudowując się czynnie w mnogich towarzystwach tajnych, jak Różokrzyżowcy, Templarjusze, Izmaelici, Wolnomularze, Karbonarjusze i t. d. Związawszy swe nadzieje z rozwojem nauk przyrodniczych, snuć począł marzenia o władztwie światowem „braci" w przyszłym „raju ziemskim" ludzkości zlaicyzowanej, poczem wykrystalizował się w rewolucyjny *mistycyzm socjalny* (Quesnay, Sieyés, Saint-Martin, de Maistre, saint-simoniści, fourrieryści federaliści, komuniści i t. d.), aż wreszcie zdołał wytworzyć swego rodzaju *solidarność mistyczną*, wspólnotę zorganizowaną wszystkich niemal filjacyj, którą Wroński zwie „zgrają tajemniczą". Ten nadrząd, kierujący zachodniemi towarzystwami tajnemi, udało się scementować dzięki skonstruowaniu *fałszywej idei postępu*, polegającej w zasadzie na odwróceniu przeznaczeń absolutnych człowieka: Zamiast wyzwolenia człowieka z warunków fizycznych i transfiguracji jego natury zwierzęcej w byt hyperfizyczny, czysto duchowy, na podobieństwo Boga, (którą to drogę wskazywał ludzkości chrystjanizm), trzeba naodwrót *wyzwolić człowieka z jego aspiracyj duchowych i więzów moralnych*, jakie nałożył swej naturze skażonej, trzeba pchnąć go spowrotem w fizyczność, czyli — jakby rzekł Wroński — poddać go nanowo intymnym popędom i energjom demonicznym, tkwiącym w tej sferze podświadomości, którą jest „derywacją starego świata grzechu". Trzeba, jednem słowem, odtworzyć w człowieku i w ludzkości ów stan ich pierwotny, antymoralny, który religja zwie „stanem grzechu pierworodnego", w całej jego nagości; a to jest właśnie postulat rdzenny mistycyzmu, który pracuje nad obudzeniem owego „homunculusa" w duszy ludzkiej. Taki typ człowieczeństwa, wprost przeciwny perspektywom soterjologicznym, jakie otwarł ludzkości Jezus Chrystus („Oportet vos nasci denuo"), jest oczywiście *antychrystjanizmem* („Antychrystem"). Toteż nowy ten „ideał postępu", zrodzony w łożach zachodnio-europejskich związków tajnych, prowadził nieuchronnie do narodzin „nowej nauki", która wyciągnąć miała ostateczne konsekwencje z założeń i przeczuć utopijnego mistycyzmu socjalnego. Powstał marksizm, teoretyczny antychrystjanizm, odwracający do góry nogami ideję religijną grzechu pierworodnego, oskarżając o grzech społeczny całą ludzkość cywilizowaną, przekreślając wszystkie kreacje historji i czyniąc prawem najwyższem postępu „bunt nieustający", postulat stworzenia nowej, prawdziwej rzeczywistości społecznej *przez zniszczenie* całego porządku dotychczasowego.

Tak oto dochodzimy do wniosków następujących: Ateizm rosyjski wyrósł na gruncie mistycyzmu orjentalno-helleńskiego i zapłodnionego nim sekciarstwa rosyjskiego, jako jego kulminacyjna konsekwencja Marksizm, jako doktryna „ludzkości bez Boga", sproletaryzowanej i wieczyście zbuntowanej, był skolei momentem kulminacyjnym rozwoju mistycyzmu zachodnio-europejskiego. Elementem podstawowym ateizmu rosyjskiego było *przeczucie Antychrysta*, zaś elementem podstawowym marksizmu *antychrystjanizm*. Powstała więc naturalna tendencja przyjęcia tego drugiego przez pierwszy t. j. zlania się obydwu odnóg mistycyzmu socjalnego: zachodniej i wschodniej, w jedno potworne łożysko. Dlatego to zapewne pisał Wroński w „Liście do ks. Czartoryskiego", że gdyby Rosja przyłączyła się do przyszłej wojny światowej, to zaraza rewolucyjna rozszerzy się wśród mas wojska i ludu rosyjskiego i nastąpi kataklizm najstraszliwszy, który zacznie następnie wciągać w swą otchłań skolei resztę Europy i ludzkości. Obawy jego sprawdziły się. „Djabelskie wesele" marksizmu z bezbożnictwem rosyjskiem odbyło się, poczem zrodził się z tego złączenia nowy fenomen mistyczny, będący trzeciem skolei „pomieszaniem prawdy i dobra": marksoleninizm.

Markso-Leninizm

Cechy.

Podług Bierdiajewa obecny, porewolucyjny komunizm odbiegł daleko od marksizmu, zabarwionego bądź co bądź pewnym objektywizmem racjonalistycznym. Postawa subjektywna, bezkompromisowy fanatyzm, ślepa wiara znamionują ten nowy typ komunizmu. Stał się on „religją bez Boga", dla której przedmiotem kultu jest kolektyw, materja uspołeczniona, proletarjat, owo monstrum metafizyczne, którego realizacja i propagacja stała się obsesją dusz przez tę ideję zahypnotyzowanych.Doktryna Marksa i interpretujące ją dzieła Lenina stały się istną „czerwoną ewangelją", w stosunku do której filozofja komunistyczna może być tylko egzegezą, hermeneutyką i apologetyką „tekstów świętych".

Po rewolucji zapanował na terenie Rosji sow. ogromny ruch w dziedzinie filozofji. Partja wysłała mnóstwo umysłów na front spekulatywny. Prowadzono gorliwe studja nad logiką heglowską, specjalnie zaś nad metodą djalektyczną. Jednocześnie z reformami praktycznemi, z projektowaniem piatiletek, z budowaniem traktorów i kolektywizowaniem rolnictwa, odbywała się gorączkowa praca nad budową jednolitego światopoglądu, oraz toczyła się walka bezlitosna z odchyleniami i zbłąkaniami myśli. Filozofję wciągnięto do bezpośredniej akcji „budownictwa socjalistycznego", jako narzędzie planowania i walki polemicznej.

Doniosła rola filozofji w ustroju sowieckim jest wypływem konieczności ustalenia i obrony „generalnej linji" marksoleninizmu, który odniósłszy triumf raptowny na terenie Eurazji, musi teraz strzec się, by nie ulec starym nałogom myślowym, nie zboczyć z drogi i zachować siłę propagacji nazewnątrz. Ale sowiecka „philosophia militans" jest tylko *pseudofilozofją*. W Rosji niema niezależności myśli, wolności poznania, która jest oczywistym warunkiem wszelkiego myślenia filozoficznego. Filozofowie żyją w niewoli partji, politbiura i Stalina. Nieomylność filozoficzna Stalina jest jakby groteskową karykaturą dogmatu o nieomylności papieża. Urzędowa filozofja sowiecka (innej niema i być nie może!) żyje w poniżającym systemie ucisku ducha. Brutalne represje, szpiegostwo, denuncjacje „ideologiczne", wzajemne oskarżenia, wymuszone akty „kajania się", strach przed herezją, oto atmosfera pracy naukowej w państwie „dyktatury proletarjatu". Jak bezlitośnie przymierza się tam myśl spekulatywną do wymagań generalnej linji, dowodzą przykłady Bucharina, Trockiego, Deborina, Łunaczarskiego, Plechanowa, Bogdanowa, Riazanowa. Kryterja „prawdy" i metody prokuratorskie tego systemu, mają w sobie niekiedy rys ponurego humoru. Tak np. materjalizm mechanicystyczny Bucharina oskarżono o związek logiczny z „kułactwem" t. j. z ideologją i interesami zamożnego chłopstwa.

Podporządkowanie filozofji i wogóle myśli spekulatywnej interesom kolektywu, to jeszcze jeden przykład radykalnego przeprowadzenia zasady *związku teorji z praktyką*. W Sowietach nie istnieje myśl czysta, służąca bezinteresownie pewności i prawdzie. Jest to następstwem ontologji i gnozeologji marksowskiej: *Rzeczywisty byt to proletarjat, czyli materja uspołeczniona, zaś wiedza i prawda jest tylko* funkcją tej realności najwyższej, służy *do jej teoretycznego uzasadnienia*. Niema więc prawdy objektywnej, jest tylko zgodność lub niezgodność z interesem proletarjatu. Filozofja winna conajwyżej wykreślić ścisłą linję demarkacyjną między kolektywem-absolutem, a całą resztą ludzkości i światopoglądów, skazując je temsamem nieodwołalnie na zniszczenie. Oto komunistyczna teorja poznania. Mamy tu potworny trick logiczny, zdążający do unicestwienia wszelkiej argumentacji przeciwnej: kto jest innego zdania, stoi poza prawdą, jako istota zdeterminowana przez wrogą świadomość klasową, nie należy go tedy przekonywać, lecz zastrzelić. Konsekwencje takiego założenia to: nihilizacja zupełna autonomji i niezależności poznawczej rozumu, negacja powszechności rozumu i zasad ogólnoludzkich logiki i etyki, jakie on implikuje na mocy samej swej istoty, zniszczenie formalne osobowości, która staje się funkcją, kwantem świadomości klasowej, własnością bezosobowego kolektywu i t. d.

Nie jest to jednak światopogląd deterministyczny, przeciwnie, stróże „generalnej linji" zwalczają gwałtownie zarówno materjalizm mechanistyczny, jak teorję środowiska, t. zw. „samotiok", czyli determinizm ewolucjonistyczny. Człowiek i społeczność nie dadzą się określić przez potok warunkujących się wzajemnie przyczyn i skutków, przez mechanizm rozwojowy, w typie Darwina czy Spencera. Przeciwnie: historyczne „stawanie się" jest uwarunkowane przez ruch wewnętrzny materji uspołecznionej. Rzekomy bezwład sił ekonomicznych, działających z akuratnością praw przyrody, nie istnieje; rzeczywistość ekonomiczna (t. j. prawdziwa, bo wszystkie inne są nadbudową fikcyj i kłamstw społecznych), wyposażona jest w samorzutność. Niema wogóle niezmiennych praw natury. Świat i historję tworzy wola klasowa proletarjatu i autodynamika walki klas.

Z równą zaciekłością tępią bolszewicy empirjokrytycyzm Macha—Avenariusa i jego zwolenników. Bogdanow i Łunaczarski podlegli oskarżeniu o idealizm sensualistyczny i pozytywizm. Życie nie jest organizacją przeżyć i doświadczeń (jak to przyjmuje bierna, spektatorska doktryna „Czystego Doświadczenia", skonstruowana przez Avenariusa), lecz walką, przetwarzającą i wyłaniającą z siebie rzeczywisty, materjalny świat, byt kosmiczny.

Asymilując metodę djalektyczną Hegla, bolszewizm odrzucił cały jej charakter logologiczny. Idealizm djalektyczny jest w Sowietach wyklęty. Deborin, chluba filozofji sowieckiej, został zlikwidowany bezlitośnie za to tylko, że zajmował się djalektyką pojęć czystych, logiką djalektyczną myśli, podczas gdy — podług marksoleninizmu — myśl sama w sobie jest niczem, a djalektyka jest realnym ruchem autodynamicznym materji. Bierdiajew słusznie podkreśla prymitywizm tego filozofowania i jego zacofanie w stosunku do nowych zdobyczy nauki współczesnej i obecnie panujących kierunków filozoficznych.

Jaka była rola Lenina w tym nowym etapie genetycznym rozwoju mistycyzmu socjalnego? Otóż on właśnie ustalił główne wytyczne „generalnej linji", usiłując dokonać systematyzacji i uniwersalizacji komunizmu, dostosowując jego postać do nowych wymagań i konjunktur, stworzonych przez zwycięstwo rewolucji. Leninowska „teorja poznania" da się streścić w paru zdaniach: Poznanie jest to zgodność z rzeczywistością. Rzeczywistość, to świadomość klasowa proletarjatu. A więc poznanie prawdziwe = zgodność poznającego z świadomością i wolą klasową proletarjatu, czyli z jego posłannictwem światowem. Leninowska ontologja jest dziwnem pomieszaniem naiwności spekulatywnej z absurdem: Materja jest absolutem, wyposażonym w myśl (logos), wolność działania i samotwórczość (swoisty hylozoizm?) Kategorje są w rzeczach. Poznanie jest odzwierciedleniem, (a więc starodawny, przedkantowski punkt widzenia, zapoznający aktywność i autokonstruktywność myśli, oraz notorycznie wiadomy już dziś udział współtwórczy podmiotu poznającego w powstawaniu obrazu świata — przyp. mój). Autodynamizm materji jest samorzutny; stąd teorja samorzutności postępu dziejowego ludzkości, wykluczająca heteronomję warunków. Metafizyka leninowska polega na prostym tricku: Wszystkie właściwości ducha absolutnego, nie wyłączając jego samorzutności twórczej, przenosi Lenin na materję, eskamotując i odwracając jednocześnie zasady podstawowe doktryny Hegla. Oczywiście w takiem ujęciu nietylko sztuka i religja, lecz również filozofja i nauka, stają się absurdem. Konsekwentnie też Lenin stwarza w miejsce autonomicznej filozofji i nauki, wulgarną pseudofilozofję i pseudonaukę. Z tej perspektywy zmuszony jest podjąć walkę z historją filozofji i z nowemi teorjami fizykalnemi (astrofizyką, mikrofizyką). Z tych wszystkich założeń epistemologji, ontologji i metafizyki leninowskiej wynika nieuchronnie zupełne pomieszanie pojęć, kryterjów i terminologji filozoficznej. Ład wprowadzony do świata myśli przez historję filozofji, nauk i metod poznawczych zamienia się na chaos nierozwikłalny. Pomieszanie znamion idealizmu i materjalizmu prowadzi do dalszych konfuzji. Problem irracjonalnego (pierwiastka twórczego we wszechświecie — *przyp. mój)* zostaje zignorowany i nierozwiązany, temniemniej cała markso-leninowska koncepcja rzeczywistości prowadzi do jakiejś fantasmagorji kosmicznej, irracjonalnej aż do rdzenia.

Tak rozbudowana „doktryna", wchłania w siebie i radykalizuje jeszcze bardziej elementy mistyczne ateizmu. Znana jest fanatyczna nienawiść Lenina do religji i do idei Boga. Myślicieli, afirmujących lub choćby dopuszczających tę ideję obrzuca on wyzwiskami, w rodzaju: „gnój", „hołota", „bydło" i t. p. W systemie marksoleninowskim bezbożnictwo staje się też oficjalnym obowiązkiem komunisty, jego religją. Postać Chrystusa jest znienawidzona ponad wszystko. W celu zdyskredytowania Chrystusa i religji fałszuje się bez skrupułów historję, zohydza i ośmiesza się wszystko, co ma związek z religijnemi świętościami. Przytem—rzecz ciekawa — bolszewicy tępią zacieklej sekciarstwo religijne niż szczątki Kościoła oficjalnego, niewątpliwie dlatego, że są one żywotniejsze, a więc trudniejsze do wykorzenienia.

W marksoleninizmie stary ateizm przeszedł przez różne metamorfozy, przyczem wśród nowych jego form najradykalniejszą jest ta, która występuje już nie przeciw Bogu i religji, lecz przeciw czystym racjonalistycznym doktrynom, hypotezom naukowym i myślicielom, o ile tylko poglądy ich różnią się od komunizmu. Leninowski typ ateisty walczy najostrzej przeciwko „klechom bez sutanny", przyczem do kategorji tej zaliczony będzie zarówno Kant, jak Kartezjusz, Leibniz i Comte, Husserl i Driesch, Einstein i Weyl, wogóle wszyscy filozofowie i uczeni niekomuniści. W światopoglądzie bowiem i założeniach scjentyficznych każdego z nich da się zawsze wywęszyć jakieś residuum idealizmu czy spirytualizmu, tendencje infinitystyczne, miejsce na „absolut" pojęty transcendentnie, lub też ostoję wolnej myśli poznawczej, niepoddanej nakazom woli klasowej. Bolszewizm chce wytrzebić samą potencję religijności, sam korzeń uczuciowości religijnej i problematyki transcendentnej, ponaddoczesnej.

Systematyzacja.

Przejdźmy pokrótce stadja genetyczne, a zarazem główne założenia ideologiczne marksoleninizmu. Elementem podstawowym tej nowej rzeczywistości będzie *idea „generalnej linji"*, wraz z jej implikacjami onto- i gnozeologicznemi (rzeczywisty byt = proletarjat, czyli materja zsocjalizowana, rzeczywista wiedza = zgodność z świadomością i wolą zbiorową proletarjatu). Ponieważ byt absolutny jest przedmiotem religji, zaś wiedza absolutna przedmiotem filozofji, więc z „generalnej linji" wynika: 1) deifikacja proletarjatu, ustanawiająca „religję", zbuntowaną przeciwko wszelkiej religji, 2) uniwersalizacja proletarjatu, czyniąca go źródłem i rozdawcą prawdy, czyli „filozofja", zaprzeczająca wszelkiej filozofji. Biernym, bytowym elementem tak pojętej „rzeczywistości absolutnej" jest *dobro klasowe*, czyli identyfikacja dobra absolutnego z wolą proletarjatu; ponieważ zaś proletarjat, jako „dobro absolutne" (rzeczywisty byt) wyłamuje się z ram wszechświata stworzonego i odwartościowuje wszystko, co nie jest nim samym, staje się on machiną niszczycielską w skali kosmicznej. Jest to *stworzenia zła* in concreto. Czynnym, wiednym elementem marksoleninizmu jest *prawda klasowa*, czyli identyfikacja prawdy absolutnej z świadomością zbiorową proletarjatu. Ponieważ tak zinterpretowana „prawda absolutna" unicestwia wszelkie inne rozumowanie, stawiając je zgóry poza prawdą; mamy tu *stworzenie fałszu in concreto*. Zkolei przeprowadzenie „generalnej linji" równolegle do pojęcia prawdy klasowej ustanawia *pan-kolektywizm*, unicestwiający jednostkę, osobowość, która jest niczem poza środowiskiem socjalnem, determinującem ją bez reszty [3]); zaś złączenie dyrektyw „generalnej linji" z dobrem klasowem wytworzyło komunistyczny *pan-aktywizm*, sprowadzający do zera walor rzeczywistości poza obrębem walczącego proletarjatu (świat i historja są plastyczne, czyli są dziełem i zadaniem proletarjatu, którego wola twórcza nie jest niczem uwarunkowana). Pan-kolektywizm pełniący funkcję pan-aktywizmu daje nową determinację markso-leninizmu, a mianowicie *djalektyzm realistyczny*, ten właśnie punkt widzenia, w imię którego potępiono Deborina za jego logologję djalektyczną; oznacza to zerwanie filozofji („logosu", myśli) proletarjackiej z wszelkim idealizmem poznawczym. Naodwrót, przejście od pan-aktywizmu do pan-kolektywizmu, wytwarza ze skojarzenia tych dwu postaw myślowych *dynamizm realistyczny*, w imię którego stoczono walkę z Łunaczarskim i Bogdanowem; jest to wyrzeczenie się wszelkiego idealizmu psychologicznego (sensualistycznego), redukującego życie do łańcucha przeżyć wewnętrznych, i afirmacja życia proletarjatu, jako konkretnej czynności konstruktywnej, kształtującej podług swej woli świat rzeczywisty, objektywny.

Część systematyczną tej nowej wersji komunizmu ustalił głównie sam Lenin. Jego „teorja poznania" to poprostu wpływ idei dobra klasowego do idei prawdy klasowej, przyczem zasada woli i interesu proletarjatu dzierży tu prym, zaś poznanie zostaje im przyporządkowane; ten punkt widzenia możnaby nazwać *absolutem w świadomości klasowej*. Leninowska ontologja jest rezultatem procesu odwrotnego: prawda klasowa góruje tu nad dobrem klasowem, bo sama materja, jako byt pierwotny, zostaje tu zdeterminowana przez świadomość klasową proletarjatu, jest określona jako logos, myśl tkwiąca u podstawy rzeczy: byłby to więc *absolut w materji uspołecznionej*. Jak tam świadomość proletarjatu była uwarunkowana przez swój byt, czyli bezwład absolutny, czyniący z niej jakąś materia prima wszechświata, tak tu materja uwarunkowana jest w swem istnieniu przez swój charakter „proletarjacki", przez swe przeznaczenie klasowe. Równomierny wpływ wzajemny dwu powyższych idej: prawdy klasowej i dobra klasowego prowadzi znowuż konsekwentnie do koncepcji następującej: W doktrynach idealistycznych i religjach, głoszących prymat transcendencji, podmiotem-źródłem prawdy absolutnej i dobra absolutnego jest „duch", pojęty jako pełnia rzeczywistości, *wszystkość* in potentia et in actu; otóż wystarczy zrobić woltę myślową i podstawić za podmiot prawdy i dobra abs. materję, czyli *nicość* determinacyj, aby wydziedziczyć niejako prawowitego posiadacza i posiąść wszystko. Mamy tu *wpływ nicości do ducha*. Ale, gdy koncepcja spirytualistyczna implikuje zasadę stwórczą, to koncepcja markso-leninowska wysuwa na jej miejsce *zasadę destrukcji*. Cały żywot zrodzonej w ten sposób rzeczywistości, owego monstrum metafizycznego, sprowadzić się musi w tem ujęciu do nieustającego zamachu na cudzą własność, do walki z wytworami zasady stwórczej, a więc do wieczystego niszczenia. Stąd wniosek, że urzeczywistnienie i rozszerzenie się komunizmu, w postaci markso-leninowskiej, równoznaczne jest z panowaniem na naszym globie *złej zasady*, co nie może się skończyć inaczej, jak permanentnym chaosem wojenno-rewolucyjnym, a wreszcie zniszczeniem ludzkości na tej planecie.

Utożsamienie końcowe pan-kolektywizmu i pan-aktywizmu daje ideję przewrotną *zamętu absolutnego*, czyli pomieszania nierozwikłalnego elementarnych pojęć i metod rozumu, pomieszania, jakie istotnie konstatuje Bierdiajew w filozofji sowieckiej. Spełnieniem definitywnem tego fatalnego zamętu, dewastującego sam rdzeń rozumu, jest zamiana jego — przez powrót do założeń „generalnej linji" — w narzędzie powszechne walki z filozofją, co rzeczywiście ma miejsce w bolszewickim *ateizmie antyracjonalistycznym* (wojna „klechom bez sutanny"!). Taki antyfilozofizm jest też prawem najwyższem rozwoju genetycznego markso-leninizmu; zaś jego problematem powszechnym jest *zniszczenie religijności*, czyli tej wirtualności duszy ludzkiej, która prze niepohamowanie ku ideom transcendentnym Boga i nieśmiertelności osobowej. Walka ze sztuką (= zasadą stwórczą), filozofją i religją, jako funkcjami i kreacjami najwyższemi ducha, jest tedy koniecznością życiową markso-leninizmu.

Jerzy Braun.

[1]) Agathos = dobry.

[2]) Kakos = zły.

[3]) Jaskrawy przykład tego niszczycielskiego sofizmatu dała nam szkoła młodych krytyków, wychowanych w kategorjach marksoleninizmu (w latach 32—33). Ich rozumowanie: Literatura ma dać wyraz prawdzie — prawda to świadomość zbiorowa proletarjatu — pisarz jest pojedyńczym osobnikiem, a nie zbiorowością — wobec tego pisarz nie może wyrażać prawdy (tworzyć dzieł literatury); należy więc zlikwidować twórczość literacką. (Wyjątek zrobiono dla reportażu). Przyszły wówczas słynne prześladowania pisarzy, liczne samobójstwa i t. d.

Jeszcze o harmonice Skriabina (II)

Rację więc mają Sabaniejew i inni przedstawiciele alikwotowej interpretacji harmoniki Skriabina. Dr. Lissa podaje następujące zarzuty przeciw ich teorji (op. cit. str. 327): 1) budowa alikwotowa akordów nie wynika z pisowni nutowej Skriabina, oraz 2) w sprzeczności z tą interpretacją jest predylekcja Skriabina do fortepianu, instrumentu temperowanego. Otóż, jak zobaczymy z dalszych rozważań, Skriabin nie znał się, jak zresztą większość kompozytorów, na akustyce i właśnie w nutacji popełniał rażące błędy.[10]) Był przytem szalenie pedantyczny i przywiązywał wielką wagę nietylko do tego, czy ma oznaczyć dźwięk enharmoniczny przez krzyżyk lub bemol, ale do rozłożenia nut pomiędzy obie ręce, do tego czy ogonki przy nutach są skierowane w dół czy w górę i t. d. Zwracał na to uwagę już w pierwszym okresie twórczości; podkreślał np., że słynna etiuda dis-mol (op. 8) brzmiałaby dla niego zupełnie inaczej, gdyby była napisana w es-moll.

Chociaż więc popełniał błędy w nutacji, znaczenie jakie przywiązywał do znaków, świadczy już o tem, że nie zwracał uwagi na temperację fortepianu i w nutach chciał *utrwalić* to, co *wewnętrznie słyszał* dokładniej, niż dało się to wykonać na fortepianie. Pisał najchętniej na fortepian, bo był to instrument najbardziej mu jako pianiście odpowiadający. Ubolewał jednak często nad brakiem fortepianów ultrachromatycznych i zastanawiał się nawet nad skonstruowaniem takiego instrumentu. Narazie zaś znalazł przy pomocy Sabaniejewa ciekawe wyjście z kolizji między ultrachromatyzmem a temperacją, o którem będzie później mowa.

Na jakiej jednak podstawie możemy mówić o ultrachromatyzmie twórczości skriabinowskiej, skoro nie jest to niczem zaznaczone w jego utworach. Świadczyć może o tem to, co określam jako „klimat" jego twórczości, a więc: bezpośrednie wrażenie, jakiego od tej muzyki doznajemy (co jest sprawdzianem bardzo ważnym, ale ze względu na swą subjektywność nie może być uważane za rozstrzygający argument naukowy), oraz geneza tej muzyki. O tej genezie możemy tylko pośrednio wnioskować z materjału, który mamy w dziełach Skriabina. Zbieżność akordu prometejskiego z szeregiem alikwotów jest uderzająca; jest to też jedyne tłumaczenie faktu, że akord Skriabina składa się właśnie z tych, a nie innych nut[11]). Jednak zawsze istnieje możliwość, że ta selekcja jest przypadkowa. Rozstrzygnięcia więc kwestji możemy oczekiwać tylko w odpowiedzi na pytanie, jak *sam Skriabin interpretował swoją harmonikę*.

Jest to metoda nie zawsze niezawodna, gdyż wielu kompozytorów tworzy swoje harmonje przypadkowo, kierując się słuchem, i nie umie wytłumaczyć genezy tych akordów, albo też, wskutek nieznajomości akustyki, lub braku zmysłu analitycznego, daje interpretację błędną.

Ale nawet takie błędne interpretacje nie są bez znaczenia dla zrozumienia klimatu całej twórczości i dla wyjaśnienia wielu jej objawów. Specjalnie zaś w wypadku Skriabina zbliżenie się do impulsów jego twórczości przynosi, jak zobaczymy, pewne fakty o doniosłem znaczeniu dla psychologji muzyki.

Jest rzeczą dobrze znaną, że jedną z najcharakterystyczniejszych cech twórczości Skriabina była dbałość o prawidłowość i konsekwencję, zasadnicze wyeliminowanie przypadkowości. To pedantyczne niemal wystrzeganie się zejścia z raz obranej drogi było w nim zupełnie świadome, wobec tego jednak, że brakowało mu wiadomości teoretycznych, jego własne eksplikacje częstokroć były sprzeczne. Tembardziej godną podziwu jest jego artystyczna intuicja, która go uchroniła przed zboczeniem z obranej drogi. Niezależnie od tego czy podstawy jego twórczości były słuszne, czy nie[12]), pozostał on im wierny, i, o ile się tak można tu wyrazić, nigdy nie „sfałszował".

Ze względu więc na wspomnianą ignorancję Skriabina w dziedzinie akustyki i podstaw teorji muzyki, do ścisłego poznania zasad jego twórczości niebardzo się będą nadawały jego własne pisma (artykuły i pamiętnik), w których zresztą temi zagadnieniami bardzo mało się zajmuje. Cenniejszem źródłem będą raczej wiadomości, jakich dostarcza Sabaniejew, który nietylko był jednym z najbliższych przyjaciół Skriabina, asystującym niemal przy całym procesie jego twórczości, ale też jedyny spośród ludzi bliskich Skriabinowi posiadał mentalność naukową i poważną wiedzę muzykologiczną, co, jak zobaczymy, nie pozostało bez wpływu na twórczość autora „Prometeusza". Pracą, najciekawsze światło rzucającą na atmosferę, w której kształtowały się koncepcje skriabinowskie, jest jedna z mniej znanych książek Sabaniejewa: „Wospominanja o Skriabinie" (Moskwa 1925), ale będąca niezbędnem niemal uzupełnieniem do jego słynnej monografji. Tam też znajdziemy parę szczegółów ważnych dla naszego zagadnienia.

Embrjony akordu prometejskiego dadzą się wykryć już w pierwszym opusie Skriabina[13]). Przez cały drugi okres jego twórczości widzimy konsekwentny rozwój tego akordu. Ale w tym okresie Skriabin sam jeszcze interpretował go w myśl harmoniki tradycyjnej (jako akord nonowy z podwyższoną lub obniżoną kwintą). Dopiero w epoce „Prometeusza" uświadomił sobie nagle, że jego akord jest czemś zupełnie innem od funkcji harmoniki tradycyjnej, że zmienia wogóle całe oblicze jego muzyki. Moment ten znamionuje zasadniczy przewrót w poglądach harmonicznych Skriabina i uświadomienie sobie swojej drogi. O okresie tym pisze Sabaniejew[14]) (podkreślenia są moje): „W tym czasie zdążyłem *stworzyć* pewną teorję akordów skriabinowskich — mniej więcej tę samą, którą później wyłożyłem w mojej książce „Skriabin" i poprzedzających ją artykułach. Teorja ta opierała się na danych akustycznych i interpretowała harmonję Skriabina jako rozszerzenie naturalnego szeregu przydźwięków. Skriabin niezwykle interesował się tą teorją, która bardzo odpowiadała jego ulubionej „Zasadzie Jedności". On zawsze szczególnie cenił Jedność, dającą się wykryć pomiędzy drogami nauki i intuicji (str. 114)... Moja teorja ucieszyła go i zauważyłem, że opanował ją dość szybko i przetworzył po swojemu, tak, że ona nie pozostała dla niego bez wartości. On prędko się oswoił z teorją alikwotów, *uznał ją za prawdziwą* i odtąd *opierał się na niej* (str. 115)."

Jak widzimy więc teorja sama jest wynalazkiem Sabaniejewa, ale wynalazkiem, opartym na materjale znanej mu twórczości Skriabina. W całym okresie postprometejskim stosował Skriabin te metody już świadomie, ale można przypuszczać, że nawet bez znajomości nowej teorji byłby poszedł tą samą drogą, gdyż znajdywał nowe akordy zawsze słuchowo przy fortepianie. Faktem bardzo ważnym jest, że jeszcze *przed* zaznajomieniem się z teorją alikwotową zaznaczał, iż na fortepianie pewne dźwięki jego akordu zasadniczego, a mian. *fis, b* i *a brzmią fałszywie*, a więc wyczuwał, że te tony powinny być trochę inne, niż w układzie temperowanym. Są to właśnie te alikwoty, które istotnie nie mieszczą się w temperacji. Uważam fakt ten za wystarczający dowód tego, że *intuicyjnie* opierał Skriabin swoje harmonje na *szeregu alikwotów* i wyczuwał słuchem prawidłowość ich budowy, nie wiedząc jeszcze nic o teorji naukowej. Nie można więc przypuszczać, iż stosował takie akordy *pod wpływem koncepcji alikwotowej*, narzuconej mu przez Sabaniejewa.

Interesujące jest wyjście, jakie Skriabin z Sabaniejewym znaleźli ze sprzeczności pomiędzy charakterem ultrachromatycznym akordu alikwotowego, a temperacją. Początkowo myślał nawet Skriabin o skonstruowaniu ćwierćtonowego fortepianu, ale jego ultrachromatyzm wymagał o wiele subtelniejszych odległości międzytonowych, których wykonanie nastręczałoby zbyt wielkie trudności techniczne. Znaleziono więc wyjście tymczasowe: zaufano właściwości słuchu ludzkiego, który tak dobrze odczuwa prawidłowość i konieczność pewnych współbrzmień, że sam automatycznie wprowadza poprawkę: odpowiednie podwyższenie lub obniżenie słyszanego tonu. Można więc notować i wykonywać dane akordy w przybliżeniu, dzięki zaś czynności regulującej ucha, wrażenie będzie prawidłowe.

Uratowało to mniej więcej harmonikę, ale nie wystarczyło do rozbudowania całości systemu ultrachromatycznego. Ucierpiała na tem przedewszystkiem melodyka, gdyż dla swobodnych, nie związanych z harmonją nut nie było kompleksu, któryby wywoływał i określał poprawkę ultrachromatyczną. W rezultacie melodja w ostatnim okresie skriabinowskim nie wychodzi poza harmonję, będąc przez tę ostatnią niejako schłonięta, schodząc do rzędu figuracji harmonicznej. Na przeszkodzie zresztą stanął nietylko brak odpowiednich instrumentów, lecz też trudność orjentacji w tem morzu otwierających się nowych perspektyw. To też narazie, według wyrażenia Sabaniejewa, „w oceanie ultrachromatyzmu Skriabin trzymał się brzegów, bojąc się wyjść w otwarte morze"; ograniczył *czasowo* pojęcie nowej, względnie nowych tonacyj do pojęcia zespołu tonów, wyznaczonych przez akord zasadniczy. W gruncie rzeczy ma się więc sprawa tak, jak ją przedstawia dr. Lissa, nie można jednak zapominać o tem, że ostatni okres twórczości Skriabina nie jest okresem ostatecznej krystalizacji zasad jego muzyki. On sam uważał go za okres przygotowawczy i jedynie przedwczesna jego śmierć uniemożliwiła nam poznanie wyników tego przygotowania. Jednakże pewne cechy ostatniego okresu pozwalają zanalizować kierunek tych przygotowań.

(C. d. n.) *Konstanty Régamey.*

---

10) Wszelkie bowiem inne teorje tłomaczące tę selekcję są niewystarczające. Tłumaczenie akordu prometejskiego jako tercjowe rozszerzenie akordu nonowego nie wyjaśnia dlaczego rozszerzenie to zawiera raz wielką *(d-fis)* raz małą tercję *(fis-a)*. Również nie można wyprowadzać tych harmonij z kwartowości, gdyż z tego nie wynika skład harmoniczny akordów, które nawet w rozłożeniu kwartowem (ze względu na przejrzystość brzmienia często używanem przez Skriabina) nie składają się z kwart jednorodnych, ale zawierają obok kwart czystych zwiększone i zmniejszone, przyczem nie da się wykryć w tej strukturze żadnej idei przewodniej.

11) O ile wogóle do oceny wytworów artystycznych pasuje słowo „słuszny".

12) Jest to tak zbanalizowany obecnie akord dominantowo-septymowy z podwyższoną kwintą.

13) „Wspominanja o Skriabinie", str. 114, 115.

14) Por. mój artykuł: „Skriabin w perspektywie dwudziestu lat", („Muzyka", Nr. 3—4, 1935, str. 60—64), gdzie wykazuję, że Skriabin był właściwie konserwatystą, gdyż nie wprowadzał nowych zasad, lecz doprowadzał do ostatniej konsekwencji z niezwykłą, trzeba przyznać, śmiałością zasady stare. Dlatego, pomimo całej zawrotności perspektyw ultrachromatycznych nie zrywał z zasadą tonacyjności.

O niektórych złudzeniach R. Carnapa (IV)

(Dokończenie).

W samej rzeczy geografowie, o których mówi Carnap, dojdą być może do jednakowych rezultatów przy badaniu góry, niezależnie od swoich przekonań filozoficznych. Podobnie również jak lekarz solipsysta może tak samo skutecznie leczyć chorego, jak i lekarz realista. Dzieje się to jednak nie dlatego, ażeby pytania odnoszące się do realizmu, czy idealizmu były pytaniami pozbawionemi sensu, ale dlatego, że w naszem działaniu w życiu codziennem stajemy wszyscy mniej więcej na stanowisku mniej lub więcej naiwnego realizmu.

Nauka w początkowem swem stadjum zaczyna od tego naiwnego, życiowego poglądu na świat. Dopiero daleko idąca refleksja filozoficzna wyodrębnia ze świata jakości subjektywne i pewne objektywne zdarzenia. Jak słusznie i dowcipnie zauważył raz Chwistek, najbardziej zapalony filozof solipsysta, o ile jest np. profesorem uniwersytetu, wystaje czasami w poczekalniach ministrów, ażeby uzyskać dla siebie jakiś order. — Czyni zaś to, choć teoretycznie powinien uważać wszystko, co jest poza nim za jakieś senne widziadło. — Nauka zaś każda doświadczalna jest również pewnego rodzaju działaniem i sfery działania nie można tak, jak to czyni Carnap, oddzielać jakąś przegródką od sfery nauki. — Owi geografowie Carnapa o ile badają górę, to działają: mierzą ją, chodzą koło niej i t. d. W działaniu zaś każdy jest mniej więcej naiwnym realistą, a trudności zaczynają się dopiero, gdy chce się zjawisko wyjaśnić.

Pozatem ów przykład Carnapa jest bardzo zgruba ciosanym i nie mówiącym wiele. Jeżeli bowiem prawdą jest, że w życiu codziennem zapominamy o różnicach filozoficznych i wszyscy mniej więcej stajemy na stanowisku mniej więcej naiwnego realizmu, to z drugiej strony należy stwierdzić, że niema znowu jakiegoś stałego przedziału pomiędzy nauką a filozofją i że przekonania filozoficzne wpływają u wielu badaczy w decydujący sposób na badania naukowe jak również i odwrotnie.

Nie ulega wątpliwości, że rozróżnienie bezjakościowego świata przestrzennego od jakościowego świata psychicznego w decydujący sposób wpłynęło u Descartesa na odkrycie przez niego geometrji analitycznej, a podobny związek zachodzi również pomiędzy metafizyką Leibniza i jego odkryciem rachunku nieskończonościowego.

Jak widzimy zatem, przykład Carnapa nie uwzględnia zupełnie, subtelnych i daleko w głąb sięgających związków, jakie zachodzą u wielu badaczy pomiędzy ich metafizyką i filozofją — a ich badaniami w poszczególnych dyscyplinach.

Przykład obrany przez Carnapa uczy nas jeszcze czegoś więcej. Jak wyżej już zaznaczono, pokazuje on nam, że Carnap wbrew swemu zapewnieniu, nie odgradza sfery działania od sfery wiedzy, gdyż z okoliczności, że obaj geografowie wobec swojej góry tak samo będą się zachowywali, bez względu na swe przekonania filozoficzne, wyprowadza wniosek, że pytania filozoficzne, odnośnie do realizmu i idealizmu są pozbawione sensu. Widzimy tu z tego, że Carnap również wbrew swoim zapewnieniom staje na stanowisku dosyć grubego i nieokrzesanego pragmatyzmu. — Ponieważ bowiem zdaniem jego spory filozoficzne w życiu codziennem nie mają znaczenia, gdyż niezależnie od przekonań filozoficznych działamy, mierzymy i ważymy, przeto wyciąga stąd wniosek, że pytania filozoficzne są pozbawione sensu. Przeciwko jednak takiemu postawieniu sprawy musi się nauka stanowczo zastrzec. Jest rzeczą bowiem jasną i już niemal oklepaną, że pytania naukowe nie mogą być stawiane i rozstrzygane pod kątem tej lub innej użyteczności życiowej. I jeżeli prawdą jest, że nauka jest już pewnego rodzaju działaniem, to należy z drugiej strony stwierdzić, że każda nauka ma swój pewien odrębny i sobie właściwy teren działalności. Z tego zatem, że pewna nauka nie wywiera wpływu na pewne sfery naszej działalności, nie można wnosić, czy pytania tej nauki są pozbawione sensu.

Pytania te są pytaniami logicznemi i dotyczą budowy myśli ludzkiej i związków, jakie pomiędzy pewnemi tworami myślowemi zachodzą — a rozstrzygnięcie tych pytań jest zupełnie niezależne od tego, w jaki sposób zachowujemy się wobec jakiegoś przedmiotu fizycznego.

W tem miejscu należy zwrócić uwagę na rażącą sprzeczność i niekonsekwencję w wywodach Carnapa. Jak to wyżej zauważono, Carnap stara się udowodnić bezsensowność sporu pomiędzy realistami a idealistami na przykładzie dwóch geografów, badających górę, którzy mimo rozmaitych przekonań filozoficznych, do jednakowych dochodzą rezultatów. Z działalności zatem praktycznej wyciąga tu Carnap pewne teoretyczne wnioski.

(C. d. n.) *A. Stawarski.*

FRANCISZKA ARNSZTAJNOWA

Kiedy ranne wstają zorze

Księżyce na łańcuchach pogasły,
lekkonogi wiatr przedświtu,
w przebiegu ulice wita,
lęk mroku ścierając z twarzy
szarych kamienic.
Za węglami, przy ziemi nisko,
zdradliwe czają się cienie.
Złe duchy nocy.
Miecz archanielski z pochwy
trysnął.
Dnia hasło.
Napiętych furkoty,
złote strzały.
Anielskie roty
z płomiennych łuków rażą
struchlałe cienie.
Skłębiły się cienne moce,
cofają się w popłochu.
Niebo w ogniu całe.
Poranne wstały zorze.
O Łasko! Łasko Boża!
A któryśmy noc przetrwali,
z sideł mroku wybawieni,
Pana chwalmy!

* * *

O klatko, klatko kryształowa,
kto duszę przed duszą chowasz!
O ludzie, ludzie poza szybą!
Co znaczą gorączkowe ruchy?
Jaka myśl poruszyła tryby?
Z jakich głębin tryskają ducha?
Słyszę słowa, słowa i słowa.
O klatko, klatko kryształowa!
Dusza tęsknie w szybę uderza,
trwożne skrzydła krwawi na kracie,
pytając w oczy ludziom i wierzy,
że ktoś dobry powie jej „bracie!"

WACŁAW IWANIUK

Wieczór w snach

Powodzie rzucają gwiazdy świetlisty namul księżyca
odnoszą w niebo horyzont roztargany i czarny
gnuśnieją szare oczy płoną oblicza
oblicza zbite na lustrach kręgami sinemi się garną

Cień siwy nasuszył włosów
nawiał gorącym wiatrem
drzewa roznosiły gałęzie szeleszcząc w noc
spod nóg wyrywa się rzeka
płonie falujący krater
wśród łąk jabłoni i śliw
dziewczęta falują owocem

dziewczęta na snach jak wieczór
modro modlitwy plączą
plączą się ręce mącą
jarzębiną ognistą, gorącą

tu szepce noc — lasem cichnie
bury kaftan nad rudą mgłą
nie przydam się pieśniom — miłością —
nie oddam snom

wieczorem łuki nieba wędrowiec podniosę nad głowę
gorejący mózg
rzucę na ciało gorączkę
pękami stalowych róż

Cesarstwo Polskie

(Dokończenie).

IV. Niech autorowi tych słów wolno będzie w tem miejscu znowuż z osobistem wyznaniem odezwać się. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak czytelnika oprócz tego, że zdumiewać, gorszyć może taki pomysł — zdaję sobie sprawę z tego, albowiem dla mnie samego pomysł ten nie jest w żadnym najmniejszym stopniu poparty sentymentalnemi pobudkami. Mogę i powinienem zapewnić czytelnika, że nie ma do czynienia z kimś wychowanym po c. k. austrjacku. Przeciwnie, autor tych uwag, acz w Galicji urodzony, w domu swym rodzinnym rósł w atmosferze sentymentom habsburskim absolutnie wrogiej, a szkoła także w nim tego wychowania nie zabiła; zanim jeszcze związki strzeleckie w Galicji zaczęły działać, już my wszyscy, cośmy kończyli szkołę w Galicji w latach przedwojennych, byliśmy usposobieni powstańczo, frontem także przeciw Austrji; ruch wojskowy nie obudził dopiero tych nastrojów, tylko podniecił serca i organizował ludzi na gotowym już gruncie; wojna, haniebne stosunki w armji austrjackiej, okrutne i podłe obchodzenie się z ludnością naszą, Fryderyka Wieszatela, dowództwa i wojska austrjackiego i węgierskiego po ich powrocie, a wreszcie, co chyba nie najmniejsze, przymierze austrjacko-niemieckie, nędzna zdrada w pokoju brzeskim — to wszystko razem sprawiło, że autor tych uwag (który na wiosnę r. 1918, jako urlopnik z c. k. armji miał w redakcji Narodnich Listów w Pradze, wobec szeregu czeskich działaczy niepodległościowych, tajną, 2-godzinną prelekcję o naszych nastrojach politycznych, obficie ilustrowaną komunikatami P. O. W.) — na równi z miljonami innych Polaków wzdychał i tęsknił do upadku Austrji. Przytaczam to, ażeby odeprzeć możliwe u czytelnika podejrzenia, że to co tutaj, pisze jakiś zaciekły galicyjski „szwarcgelber". Ale Austrja upadła i już nigdy, do końca świata, Austrji w Polsce nie będzie. Więc można sobie pozwolić na całkiem objektywny rachunek, który i Austrję, względnie Habsburgów uwzględnia jako kardynalny element planu bezpieczeństwa, na jaki sobie tu pozwolono — ze śmiałością, która się łacnie fantazjowaniem wydać może — wiem o tem.

Możemy też już dzisiaj, po upływie dwuch blisko dziesiątków lat, pozwolić sobie na bezstronną ocenę roli dziejowej Habsburgów; otóż faktem jest, że zbudowali oni dach, pod którym szereg mniejszych narodów bytowało wcale bezpiecznie, bezpiecznie od Rosji i od Niemiec, i wcale swobodnie — od roku 1867 — w warunkach życia cywilizowanego, na modłę zachodnio-europejską, mogąc oświecać szerokie masy w języku narodowym, organizować się i rozwijać wyższą kulturę narodową. Naturalnie nie było to żadną łaską monarszą; była to historyczna konieczność, ale też ta konieczność została przez F. J. Habsburga i niejednego z austrjackich mężów stanu zrozumiana. Nawet Węgry, które zresztą madziaryzowały gwałtownie, były jednak państwem, gdzie o dobrobyt szerokich mas i ich oświatę, — choć madziarską — dbano. Co do nas Polaków, to nikt nie zaprzeczy, że Galicja, mimo swej nędzy i wyzysku przez zachodnie austrjackie kraje przemysłowe, rozwijała się w tej swobodzie bardzo dzielnie—i że polityka austrofilska Polaków galicyjskich miała swe, w ówczesnych warunkach, wobec tępiących nas Prus i znęcającej się Rosji, bardzo poważne uzasadnienie; zresztą, jak to ś. p. Kazimierz Bartoszewicz—o żadną chyba ugodowość nie podejrzany! — wykazał, to sławne z r. 1867 „Przy tobie stoimy i stać chcemy" Sejmu Lwowskiego — wcale nie było ultralojalistycznym i lokajskim hołdem: Było to uzasadnione warunkiem i nadzieją, że w oparciu o Austrję będziemy mogli do niepodległości dążyć! Ale warunek ten i ta nadzieja nie spełniły się: Austrja nie zdobyła się na to, by rzec drugie słowo, by przeistoczyć się w federację ludów, pomiędzy któremi Niemcy austrjaccy byliby tylko jednym z uczestników; Austrja pozostała w połowie drogi pomiędzy rzeszą swobodnych narodów, a państwem narodowo-niemieckiem; związana przeto z Niemcami sojuszem, musiała ulec temu losowi, jakiemu uległa; może zresztą ze względu na swą zawartość madziarską, nie mogła postąpić inaczej? Dość, że Austrji cesarskiej niema już, niema już Węgier w dawnej rozciągłości, — ale pozostały *stare wspólne interesy* tych narodów, które ongiś pod dachem habsburskim bytowały; zwłaszcza w zlewisku Dunaju wspólność tych interesów jest bardzo widoczna. Palacky w 48 roku mówił, że gdyby Austrji nie było, trzebaby ją zrobić.

Idzie więc o odbudowanie tego dachu bezpiecznego — ale na podstawach już zupełnie nowych; i teraz idzie o *wciągnięcie* pod ten dach Austrji i Węgrów. Ale dach ten musi być znacznie większy i szerszy niż dawna monarchja habsburska; musi sięgać po Bałtyk i po Morze Czarne. Do tego, aby być głównym filarem, powołana jest Polska. Ta sama Polska Chrobrych, Zygmuntów Augustów, Władysławów IV, ale i Sobieskich, która już poprzednio przez wieki była mocarstwem, co zespoliło licznych Słowian, co Zachód kryło przed Wschodem, [1]) a na Wschód szerzyło myśl wolności i rozpościerało aż po Wołgę swoją cywilizację, na które Jug słowiański tęsknie się obracał spojrzeniem. Polska załamała się z przyczyn ustrojowych i odbudowana, może i powinna starą swoją myśl podjąć — tę samą myśl, której potem nie umiała konsekwentnie wykonać Austrja habsburska, co, gdyby się była z Polską walczącą o wolność szczerze sprzymierzyła, byłaby napewno ocalała. Ale to są historyczne „gdyby"... mniejsza o nie. Rzecz w tem, iż o ile plan rzeszy B.P.A. jest zasadniczo możliwym, to Habsburgom przypada w nim miejsce bardzo ważne: być materjalnym i ideowym łącznikiem pomiędzy północną Polską (i pośrednio bałtycką) a austrjacką (i węgierską) geograficznie zwornikową częścią całej konstrukcji.

V. Co do samego rozwiązania *monarchicznego* — to, znowuż do osobistego tonu, dla lepszego porozumienia się z czytelnikiem wracając — nie wiążę z wyobrażeniem korony, żadnych wyobrażeń mistycznych ni mitycznych, czysto religijnej natury, czy narodowej; zasada, że „wszelka władza pochodzi od Boga" jest bardzo niebezpieczna; nią się posługiwał odstępny metropolita moskiewski, gdy wiernych nakłaniał do poddania się Sowietom. Z naszej historji porozbiorowej znamy też podobne kwiatki. Monarchja w swej genezie jest czystym *faktem* siły, jest to naogół utrwalona dziedzicznie władza wojskowego wodza-zdobywcy; z narodowego punktu widzenia nie mogę pojąć dlaczegoby naród miał się najlepiej „wyrażać" w monarsze: czyżby dlatego, że niema dziś i od dawien dawna nie było ani jednego monarchy, któryby był tej samej krwi co jego poddani?... A także naród to jest wielkie, dynamiczne jestestwo — tymczasem dynastja, jedna rodzina — przedstawia względnie statyczny element: Naród w pewnej chwili szaleje od namiętności — i oto wyłania ze siebie na swego wodza, człowieka z ludu, który w monumentalnej, ale prostotnej swej mentalności wcielił i wyraził wszystko, co narodowa masa w tym czasie pragnie i myśli. Monarcha i jego synowie są o wiele dalsi od dynamiki narodu. Nie potrzebuje być wcieleniem narodu koniecznie tylko wódz: czy wybrany prezydent republiki Tomasz Masaryk nie jest dla narodu czeskiego wcieleniem wszystkiego, co w nim najlepsze? A nasz elekcyjny, koronowany prezydent Rzplitej Jan Sobieski, czy nie był o wiele lepszym wyrazicielem narodu, niż, także wprawdzie elekcyjny, ale na mocy tradycji dynastycznej wybrany Zygmunt III? Więc, wbrew mistykom i mitologom monarchji, w czem innem szukam walorów aktualnych monarchji. Myślę mianowicie, że jeżeli już musimy iść ku silnej władzy, to władza monarchy, monarchy pośród swoich rad — a mniejsza tu już o ich ustrój — będzie najłagodniejszą i najliberalniejszą ze wszystkich władz silnych. Właśnie dlatego że on, stojąc nieco na uboczu od opinji publicznej, może się nie poddawać tak łatwo namiętnościom masy, jak oligarchja co z nas wyszła, która namiętności mas budzi, aby im potem ulegać; — monarcha może z zimniejszą krwią oceniać rozmaite sprawy.

Kiedy o dzisiejszych dynastjach myślę — to jako o ostatnich Europejczykach, ludziach, którzy zachowali jeszcze grzeczność, przyzwoitość, umiarkowanie i t. p. cechy cywilizowane i dżentelmeńskie. Co nie znaczy bynajmniej, abym za zaletę monarchy uważał obcość uczuciom narodowym! Nic podobnego; owszem sądzę, że jak monarcha, jeśli potrafi, to wychowuje sobie naród, tak i naród, jeśli potrafi, wychowuje sobie monarchę... Dość tu na tem, że bez monarchicznego zabobonu i bez antymonarchicznego fanatyzmu, można postulat monarchji rozpatrywać ze ściśle celowego punktu widzenia: nie, czy monarchja jest święta albo djabelska, ale czy się w danym razie przyda, czy nie? W wypadku, nad którym zastanawiam się, monarchję należy uznać za bardzo przydatną, bo — powtórzmy raz jeszcze całe to rozumowanie: Jeżeli ma powstać taka rzesza państw-narodów, to musi być jej trzon i głowa; pożądanem jest, ażeby ten trzon i ta głowa odział się symbolem, któryby i jemu samemu i innym zainteresowanym przypominał ciągle i trwale jego misję i znaczenie; ten trzon i głowa musi poczuć się tem co się w dziejach nazywało stale cesarstwem i odpowiednio się nazwać: jeśli ma być cesarstwo, musi być cesarz; a ten cesarz jest zarazem personalnym, żywym, dziedzicznie trwałym i przez to niezastąpionym zwornikiem całej rzeszy. Taki jest nagi rachunek i zdaje się — bezbłędny. W każdym razie, pożądaną byłaby dyskusja, aby błędy tego rachunku, jeśli są jakie, wykryto.

VI. Do tej pory tylko liczyłem; ale teraz niech mi wolno będzie z uczuciem się wynurzyć: więc przyznam się, że jest to dla mnie wizją bardzo wspaniałą, wyobrażać sobie Wawel, otoczony wieńcem sfederowanych z nim stolic i zamków... I myślę: Może wtedy i Kijów zapragnąłby być pomiędzy niemi, a wtedy o wielu kwestjach możnaby porozmawiać z Rusinami?... Ale to już dalekie rzeczy...

Mówi się nieraz, że młodzież współczesna niema nad sobą wielkiej idei... Zdumiewająca mowa — czyż sama obrona kraju przed wrogami nie jest już ideją godną *młodzieży?* Ale widocznie chcą jeszcze czegoś więcej... Więc mówi się o spolszczeniu miast. Owszem to ważna sprawa, bez żadnego wątpienia i trzeba o to starać się — ale w tem zamknąć całą ideowość pokolenia, w sprawie bądźcobądź dość małomieszczańskiej, powszedniej? Przebudowa ustroju społecznego na sprawiedliwszy, a w związku z tem wielkie odrodzenie duchowe, oto są wielkie nowe rzeczy, równie wielkie, jak sprawa niepodległości, która do dziś dnia nie przebrzmiała. Złączyć te dwie sprawy, przebudowy społecznej i i obrony niepodległości w jeden ideał: Polaka, co wolnym przyrzekł sobie być i sprawiedliwym — to jest ideał wielki i gorący. Nie potrzeba dodawać, że jest to ideał chrześcijańskiego rycerza, jaki może nigdy nie był naprawdę, ale jaki powinien być. Ale te dwa ideały, niepodległości i nowej sprawiedliwej kultury, domagają się swego uzupełnienia i wykończenia przez ideał *mocarstwowy* — a to w dwojakich sensach, ideowym i praktycznym; ideowym, jako wytwarzanie szlachetnej, mocnej, syntetycznej kultury; praktycznym, jako inicjatywa Polski do wytworzenia się potężnego, zwartego bloku narodów-państw, zagrożonych przez dwa ogromne narody zaborcze, dwa państwa totalne, dwie psychiki brutalnie utylitarne, i antychrześcijańskie, dwa imperjalizmy: sowiecki i germański. Między tym politycznym, a tamtym ideowym (moralnym) aspektem mocarstwowości Polski związek jest ścisły: Bo tylko więź ideowa, tylko cyrkulacja wspólnych ideałów kultury, może nadać elementom tego bloku prawdziwie pozytywne współżycie i wspólne samopoczucie; i tu znowuż my powołani jesteśmy do inicjatywy, ze względu na te szlachetne intencje i myśli, które się w duchu polskim wyjawiły.

Pomysł, z którym się niniejszem wystąpiło, nie bez ryzyka narażenia się na śmieszność, który ja sam odczuwam jako niesamowity i fantastyczny — wynikł jednak z rachunku kwestyj poruszonych tu, wynikł też z chęci rzucenia hasła, któreby było jaskrawem i dosadnem streszczeniem ambicyj, do jakich jesteśmy my Polska, powołani.

Naturalnie, że wiem, ile znaleść można zarzutów z góry! Ileż wątpliwości: A co Włosi, a co ci, a co tamci? Ale na początku każdej myśli najważniejsze jest, czy ona sama w sobie jest dobra; dopiero potem pytamy, czy i jak ją przeprowadzić. Pytam więc, jaki jest lepszy, prostszy, mniej fantastyczny pomysł na bezpieczeństwo Polski, a z Polską razem tej części Europy?

Ale fantastyczność?... Któż jeszcze dzisiaj może się bać fantastyki? Cały świat robi się coraz bardziej i pod każdym względem fantastyczny, pełen możliwości, o jakich wiek XIX ani śnił. Jesteśmy świadkami karjer fantastycznych, iście „bajecznych". Dlaczegoby Polska nie miała zrobić bajecznej karjery?... Obawiam się przytem, że jest tak: „Wszystko albo nic"...

Jeśliby jednak faktycznie postulaty tak daleko idące, *maksymalne*, nie miały być realnemi, to w każdym razie pozostaje postulat *minimalny:* Że Polska nie może sobie pozwolić na désintéressement w Europie środkowej, nad Dunajem i nad Łabą, że tu jest właściwy kierunek naszej polityki „mocarstwowej" i „samodzielnej", że wszystkiemi siłami należy tu działać, by nie dopuścić do pojawienia eię ogromnej, okrążającej nas potęgi.

Bo o nie mniej ni więcej idzie tu gra, tylko o rzeczywisty los żywych Polaków, co po nas przyjdą. Ta straszna odpowiedzialność niechaj nami rządzi w naszych myślach i czynach, sojuszach i decyzjach.

K. L. Koniński.

---

[1]) Nie zgodzę się nigdy z kimś co na szarżę Sobieskiego z Kalenbergu patrzy z punktu widzenia austrjackiej wdzięczności w r. 1772 i 1846. Naprzód, łatwo nam ganić go, bo już mamy te daty w ręku, a on ich jeszcze nie znał... O tej drobnostce zbyt się często zapomina w historycznych naganach. Ale przypuśćmy nawet, że z punktu widzenia ówczesnej polityki polskiej, pomoc udzielona Habsburgom nie była „praktyczna" — to jednak nie zapominajmy, że po pierwsze, okrążenie Polski przez Turcję, gdyby była Wiedeń, a potem pewno i Czechy i Morawy zdobyła, byłoby strasznem. A po drugie — (czy to po pierwsze?) — Sobieski, lew Lechistanu i Polska, wielki naród chrześcijański, gdyby się w chwili takiego najazdu na Europę chrześcijańską nie byli podnieśli — byliby karłami... Przyszły niedługo czasy karle, ale czyn Sobieskiego opromienił mocarstwowe dzieje Rzplitej wspaniałymi blaskami zachodzącego pięknie słońca. „Nie opłaciło się"... Och, ile argumentacyjnej siły, że warto aby Polska spowrotem była, ile skutecznych akcentów propagandowych rok 1683 dał nam podczas naszej niewoli, ile procentów dumy pobrali zeń, jak i z innych naszych winkelrodyzmów, nasi biedni wygnańcy na Zachodzie?...

Nazwa Boga nie jest onomatopeją

(Na marginesie „Kartek z notatnika" Cz. J.-Kozłowskiego)

W nr. 1 „Zetu" przytacza p. Jastrzębiec-Kozłowski pomysł pewnego amatora-etymologa, który zestawia wyraz *Bóg* z onomatopeją *bach, boch,* naśladującą uderzenie pioruna. P. Kozłowski zwraca uwagę na to, że i inne nazwy europejskie boga zaczynają się na spółgłoskę wybuchową. Otóż poglądy te istotnie nie dają się obronić ze stanowiska lingwistyki naukowej, zwłaszcza, że sprawa w danym wypadku jest bardzo jasna. Wybuchowości samogłosek nie odczuwamy przecież dosłownie, inaczej ogromna większość słów, zaczynających się na spółgł. wybuchową, musiałaby być odczuwana jako onomatopeja. Otóż sprawa nazwy boga przedstawia się w ten sposób. Najogólniejszą indoeuropejską nazwą jest: indyjskie *deva,* st. irańskie *daeva* (wskutek specjalnych warunków religijnych, mające w zoroastryzmie znaczenie „szatan"), łac. *deus,* staro islandzki *tivar* („bogowie"), st. irlandski *dia,* litewski *dëvas,* słowiańskie *diw* (polskie *dziw)* i t. d. Słowo to stoi w niewątpliwym związku ze starą nazwą „nieba", która to nazwa często występuje jako imię własne boga, a więc: indyjskie *Dyauh,* greckie *Dzeus,* łacińskie *Juppiter* (z dawnego: *dju pater* dosłownie „ojcze niebo", por. greckie *Dzeu pater;* por. też łac. *sub Iove* „pod gołem niebem").

Obok tej głównej nazwy niektóre szczepy indoeuropejskie wytworzyły nazwy specjalne, z których jedną z ciekawszych jest imię indyjskiego boga *Bhagah* dosłownie „rozdzielacz" lub „mający obfity dział, bogaty". W związku z tem znajduje się potoczna nazwa boga w języku staroperskim *baga* oraz nasze słowiańskie bog. O tem, że języki słowiańskie nie utraciły jeszcze poczucia pierwotnego znaczenia tej nazwy świadczą słowa jak *ubogi* („niemający działu"), *bogaty* i t. d.

Na uboczu stoją nazwy germańskie oraz greckie *theos.* W języku gockim bóg znaczy *guths,* co jest u podstawy współczesnych form *God, Gott* i t. d. Językoznawczo najściślej, chociaż nie bez pewnych wątpliwości, da się to słowo nawiązać do indyjskiego *huta,* znaczącego „ten, którego się przywołuje". Greckie *theos* jest doskonałym przykładem tego, że w językoznawstwie naukowem samo podobieństwo dźwiękowe niczego nie dowodzi i w słowach zestawianych każda litera musi być wytłomaczona. Otóż greckie *th* nie może odpowiadać indyjskiemu i łacińskiemu *d.* Regularnemi odpowiednikami greckiego *th* są: w łacinie f, w indyjskim *dh* i tylko w litewskim i słowiańskim *d* (por. gr. *thumos* = łac. *fumus* = ind. *dhumah* = lit. *dumai* = sł. *dym).* Toteż, o ile pierwotną zrekonstruowaną „indoeuropejską" formą dla wszystkich słów, które wyżej zestawiliśmy z łacińskiem *deus* będzie *deiwos,* o tyle dla greckiego *theos* taką formą indoeuropejską jest *dhwesos:* dźwiękowo i znaczeniowo co innego. Znaczeniowo słowo to wiąże się raczej z określeniami duchów, por. łotewskie *dwësele* „dusza", słowiańskie *dusza* (z dawnego *dwesza)* i łacińskie *festus, feralis* „należący do dusz podziemnych".

K. R.

Z prasy rosyjskiej

Krestross podaje, że w ciągu dziesięciu miesięcy ub. roku w Gruzji zabito 44 sowieckich urzędników-komunistów, a ciężko pobito 69. — W Moskwie zmarł prof. Jerzy Czełpanow, wybitny rosyjski myśliciel. — Instytut katolicki w Paryżu ogłosił konkurs międzynarodowy na powieść, malującą destrukcyjność komunizmu. Trzy pierwsze nagrody zdobyli Rosjanie: A. Rachmanowa, I. Łukasz i P. Tamanin. — Redakcję warszawskiego *Miecza* odwiedził młody inżynier S., który przed paru miesiącami zbiegł z Rosji. Inż. S. miał siedem lat w czasie przewrotu bolszewickiego, jest synem proletarjusza, wychował się pod nowym reżimem, ostatnio zarabiał dobrze jak na sowieckie stosunki. Mimo to, nie mógł wytrzymać okropnej tamtejszej atmosfery. W wywiadzie, udzielonym redakcji, wyraził poglądy, nie we wszystkiem zgodne z opinjami emigracji rosyjskiej. Tak więc twierdzi, że w razie wojny, masy rosyjskie biłyby się z całym patrjotyzmem, ale... bynajmniej nie po myśli czerwonych carów, gdyż poza miłością do ojczyzny szłoby im głównie o zniszczenie znienawidzonego powszechnie komunizmu. Inż. S. stykał się nieustannie z robotnikami i włościanami, i to raczej z młodszem pokoleniem; otóż utrzymuje on, że nastroje są jaskrawo antisowieckie. Najbardziej znienawidzony ma być Stalin. Na pytanie, czy nędza jest teraz mniejsza, odpowiada, iż przedewszystkiem samo pojęcie nędzy jest w Rosji zupełnie inne niż w reszcie Europy. Kto nie jest dosłownie głodny, ten już uważa się za uprzywilejowanego. Masy robotnicze, przytłoczone apatją, tają narazie głuchy bunt. Powrotu kapitalistów i ziemian nikt nie pragnie, ale wolności pożądają wszyscy. O Europie i o Rosji przedwojennej wie się tam znacznie więcej, niż my tu myślimy. Inż S. jest przekonany, że komunizm w Rosji dogorywa. — *Miecz* nr. 95 głęboko ubolewa nad „bolszewickim" numerem *Płomyka.* Mieliśmy już — pisze — sowiecki numer *Wiadomości Literackich,* ale był on przynajmniej przeznaczony dla dorosłych... — *Sowietskaja Torgowla* podaje, że w okręgu Swierdłowskim, tylko 15 rejonów szkolnych — na ogólną liczbę 68 — posiada zeszyty, przyczem na 4 uczni wypada jeden zeszyt miesięcznie. — *Za Komunisticzeskoje Proswieszczenije,* donosi, że w szkole średniej rejonu Szyłowskiego, okręgu Moskiewskiego, niema ani jednego kałamarza, ani rozkładu lekcyj.

Książki i czasopisma

Ludwik Krajewski: Podstawy ustroju Trzeciej Rzeszy. Warszawa 1938. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 55.

Dr. Eugenjusz Bautro: Idea antytetyki prawniczej (Szkic programatyczny). Lwów, 1933. Nakładem autora. Skł. gł. Księg. L. Frommera — Kraków. Str. 72.

Karol Hubert Rostworowski: Pisma (Judasz z Kariothu, Kaligula, Miłosierdzie). Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 440.

Giovanni Gentile: Źródła i doktryna faszyzmu. Tłum H. Mirecka. Warszawa 1933. Nakł. księg. F. Hoesicka. Str. 167.

Artur Henderson: Praca i pokój. Droga świata pracy do pokoju. Słowo wstępne Augusta Zaleskiego. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 167.

T. Modrzejewski: Wyrazy, które umarły i które umierają. Warszawa 1936. F. Hoesick. Str. 200.

Anna i Jerzy Kowalscy: Gruce. Powieść. Warszawa, 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka. T. I — str. 744, t. II — str. 568.

Witold Bunikiewicz: Życie w kolorach. Powieść. Warszawa 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka. Str. 279.

Marjan Sulima: Kainowym szlakiem. Powieść. Warszawa 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka. Str. 192.

Gustawa Jarecka: Przed jutrem. Powieść. Warszawa 1936. Nakł. księg. F. Hoesicka. Str. 279.

M. M.: Z. S. S. R. Rzeczywistość. Warszawa 1936. Wydawnictwo kwartalnika „Wschód". Str. 79.

Szymon Pigwa: Freski. Poznań 1936. Księgarnia J. Dippla.

Ignacy Fik: Plakaty na murze. Poezje. Bibljoteka „Okolicy Poetów" nr. 3. Ostrzeszów 1936. Skł. gł. Gebethner i Wolff. Str. 73.

Biuletyn Polsko-Ukraiński (r. V. nr. 12). Rocznica Szewczenki. Z poezyj Tarasa Szewczenki, przeł. Cz. Jastrzębiec Kozłowski i K. Dumański; J. Kedryn: Brześć — Ryga — Paryż; Al. Docenko: Ukraina w dobie nowoczesnej (c. d.); Varia.

Adama Mickiewicza Dzieła wszystkie. Wydane i opracowane staraniem Komitetu redakcyjnego. T. IX. *Literatura słowiańska,* Wykłady w Collège de France. Kurs drugi. Rok 1841—1842. Tekst zrekonstruował, przełożył i opracował *Leon Płoszewski.* Warszawa 1935. Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. Skł. gł. w Kasie im. Mianowskiego. Str. 543.

Adama Mickiewicza Dzieła wszystkie. Tom XIII. *Listy.* Tom pierwszy. 1817—1831. *Opracował Jan Czubek.* Wstęp napisał *Stefan Kołaczkowski.* Nakładem Skarbu Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa 1936. Str. 556.

Kazimierz Missona: Wódz narodu (Józef Piłsudski). Widowisko historyczne w 9 odsłonach. Kraków 1936. Skł. gł. Księgarnia T. S. L. Str. 47.

Eugenja Weber: Pisarz sowiecki. Warszawa 1936. Odbitka z „Verbum". Str. 137—173.

Taras Szewczenko: Poezje. W przekładach M. Bieńkowskiej, K. Dumańskiego, A. J. Gorzałczyńskiego, T. Hollendra, J. Iwaszkiewicza, Cz. Jastrzębca-Kozłowskiego, B. Łepkiego, J. Łobodowskiego, Wł. Słobodnika, L. Sowińskiego, K. Wierzyńskiego, Z. Wojnarowskiej, B. Żyranika. Pod redakcją Pawła Zajcewa. Ukraiński Instytut Naukowy. Warszawa 1936. Str. 407 i ilustracje.

Ante Dukić: Marija devica. Czakawska pjesma s tumaczem rijeczi i naglasa. Zagreb 1935. M. Pret. iz Jadranskog Koledara. Str. 14.

Stefan Napierski: Liryka niemiecka (przekłady). Chełm 1936. Bibljoteka „Kameny". Str. 216.

Ks. dr. Michał Klepacz: Wartości życiowe religji. Konferencje radjowe. Kielce 1936. Wyd. SS. Służebnic N. Serca Jezusowego. Str. 154.

Okolica Poetów (r. II, nr. 3) A. Łaszowski: Dyspozycje liryczne; M. Jastrun: Promień; A M. Swinarski: Manuel; X. Żytomirska: Z poezji angielskiej; T. Bocheński: Z poezji francuskiej; St. Napierski: Z poezji francuskiej; J. A. Frasik: Pola łąkom; I. Fik: Posągi; L. Świeżawski; Primavera siciliana; W. Zechenter: Caruso; T. Bocheński: Pogrzeb; A Bielecki: Metale; T. J. Demczyk: Tetmajer; J. Wit: Zgubione słowo; St. Czernik: Dzień przed żniwami; Recenzje.

Młodzież Katolicka (r. V. nr. 3) J. Gruszkówna: Z rozważań nad Ewangelją; X. E. Szwejnic: Podstawy rozwoju osobowości; J. Dobraczyński: Uniwersalizm katolicki; ks. H. Suliński: Dwie psychozy; Sztuka i twórczość; Przegląd prasy.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37, tel. 6-61-64. Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
Redaktor przyjmuje we wtorki od g. 18 — 19, piątki od g. 12 — 13. Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „Bluszcz", Warszawa, Solec 87.